

Sen wariata

Izolacja – po raz pierwszy to do mnie dotarło, kiedy pojawiłem się w stołówce w firmie, zaraz po ukazaniu się artykułu w poniedziałkowym wydaniu tygodnika „Wprost”. Niby wszystko funkcjonowało normalnie: jestem w pracy po siódmej, idę na kolegium redakcyjne, w rytmie ogniowym, przed salwą, którą mamy odpalić o dziewiętnastej. Pierwszy moment odprężenia następował zawsze około godziny jedenastej, kiedy schodzimy na parter do stołówki.

To był wtorek, a ja wciąż jeszcze nie miałem pojęcia, o co chodzi. Owszem, tu i tam dało się usłyszeć, że ukazał się jakiś tekst, o jakimś molestowaniu w jakiejś redakcji. I tyle. Ani nikt nie dawał mi nawet do zrozumienia, że może to w jakiś sposób dotyczyć mnie, ani – tym bardziej – że miałyby to dotyczyć naszej pracy. Szczerze mówiąc, nie bardzo mieliśmy też czas na zajmowanie się tekstami, które nie wpływałyby na kształt „Faktów”.

O jedenastej zszedłem do stołówki. Poczulem na sobie wzrok ludzi, którzy nigdy wcześniej mi się nie przyglądali. Z drugiej strony, ci, którzy mi się zwykle przyglądali, teraz jakby omijali mnie wzrokiem. Niby wymieniliśmy zdawkowe „dzień dobry”, były jakieś uśmiechy, ale czułem się trochę tak, jakby wokół mnie był lej po bombie.

I w ten wtorek, dzień po publikacji, Grzegorz Jędrzejowski, mój zastępca, a przede wszystkim przyjaciel, wreszcie mi powiedział: „Podobno to o naszą redakcję chodzi w tym tekście o molestowaniu”. Zajrzałem więc do tego artykułu, ale wciąż nic nie kojarzyłem... Dalej nie łapałem. Coś o kimś. Czemu miałyby mnie to obchodzić?

Po południu rozmawiałem telefonicznie z Marianną. Nasze stosunki były wówczas już przyjacielskie, małżeństwo od trzech lat trwało w stanie zawieszenia, ale nie byliśmy na siebie obrażeni ani – tym bardziej – w konflikcie. Chociaż mieszkaliśmy osobno, wciąż się widywaliśmy, właściwie regularnie, podczas moich pobytów w Katowicach. W trakcie rozmowy wspomniałem o owym tekście i spekulacjach, które miałyby dotyczyć „Faktów”. A Marianna – nigdy tego nie zapomnę – powiedziała mi prosto z mostu: „To ty nie wiesz? Przecież wszyscy o tym mówią! Ma chodzić o ciebie i o T. Nie bądź naiwny, przecież musiałeś o tym słyszeć. Ta historia podobno już od dawna chodzi po Warszawie”. I opowiedziała mi, jak odwiedził ją przed rokiem kolega z Warszawy, który szczerze zatroskany zapytał: „Czy to prawda, że Kamil cię bije i ma romans z T., bo wszyscy w stolicy tak mówią”. Marianna zdrowo się wtedy uśmieła, ale nic mi nie powiedziała. Uznała wówczas, że to brednie bez znaczenia.

Następnego dnia poszedłem z egzemplarzem „Wprost” w dłoni do mojego szefa. Powiedziałem, czego się dowiedziałem: że w tekście podobno chodzi o mnie. Znał sprawę, bo na kolegium szefostwa stacji podszedł do niego ktoś i powiedział, że Durczok będzie miał gigantyczne problemy – cała firma już huczy – bo ponoć molestował T. Odpowiedziałem prosto: „Adam, wiesz o mnie więcej, niż sam bym chciał, żebyś wiedział – na dobre i na złe. Czy ty możesz brać takie opowieści na serio?”. Miałem wtedy pełne przekonanie, że zbyt dobrze zna wszystkie oficjalne i nieoficjalne sprawy dotyczące zespołu, by uwierzyć w te brednie. Wiedziałem, że rzeczywistość a jej drukowana wersja to dwie różne sprawy. Nie wiedziałem jednak, że mimo iż ta druga nie ma z pierwszą nic wspólnego, może być zabójcza nawet dla mnie. Dotąd byłem przekonany, że to polityk jest jak mucha i można go zabić gazetą. Za chwilę miałem się przekonać, iż rzecz może dotyczyć także dziennikarza.

Wyszedłem uspokojony, ale ta rozmowa nie wystarczyła, żeby przywrócić mi dobry nastrój. Wystarczył pobieźny spacer po sieci, żeby zorientować się, o co chodzi, choć wtedy nie do końca jeszcze zdawałem sobie sprawę ze skali problemu. Powinienem już wiedzieć – dzisiaj wiem, że powinienem. Wtedy wciąż nie mieściło mi się to w głowie.

Zaraz po środowych „Faktach” przybiegła do mnie jedna z koleżanek: „Patrz, co dostałam!”. To był e-mail od owego niesławnego blogera, który się procesował z Jurkiem Owsiakiem – procesował i przegrał. Pseudonim: „Matka Kurka”. Wysłał zapytanie, które brzmiało mniej więcej tak: „W związku z doniesieniami prasowymi zwracam się do Pani z pytaniem: czy kiedykolwiek między Panią i Kamilem Durczokiem doszło do relacji wykraczających poza stosunki służbowe? Czy kiedykolwiek Durczok Panią molestował?”. I tak dalej...

Okazał się, że takie e-maile otrzymało kilkadziesiąt pracowników z całego TVN. Nogi się pode mną ugięły.

Dotąd wciąż było tak, że w spekulacjach medialnych, a także w samej publikacji we „Wprost”, nie pojawiała się moje nazwisko. Tłumaczyłem więc sobie: ludzie przecież nie powariowali, pewnie plotkują w tej kwestii nie tylko o mnie. Ten e-mail od blogera rozesłany do różnych osób w firmie, większości których nawet osobiście nie znałem, zmienił moją perspektywę. Tak, po raz pierwszy poczułem się osaczony.

Dokończyłem jakoś mój tygodniowy cykl prowadzenia „Faktów” – do czwartku. Podobno było już po mnie widać, że jestem rozkojarzony, zgaszony, rozbity. Czułem, że nadciąga coś złego. Najgorsze było jednak, że nie wiedziałem co.

Jak co tydzień wyjechałem do Katowic. Stamtąd w weekend konsultowałem się i z moimi przełożonymi, i z naszym działem prawnym, bo uważałem, że nie powinniśmy biernie czekać.

W kolejny poniedziałek była cisza. I przez cały tydzień właściwie też, choć w sieci buzowało. We środę prowadziłem rozmowę z Grzegorzem Schetyną w „Faktach po Faktach”. Kontaktowałem, reagowałem, profesjonalnie byłem na pewno bez zarzutu, ale czułem, że inne myśli, które się do mnie dobijają, w końcu zagarną całą głowę. Ilość niestandardowych bodźców, które odbierałem od otoczenia, wytrącała mnie z naturalnego biegu. Pożegnałem się z gościem, życzył mi powodzenia. Ale w czwartek rano byłem już w takim stanie, że wiedziałem, że nie poprowadzę auta do Katowic. Zadzwoiłem po kierowcę. W piątek rano ruszyliśmy do domu. Jechaliśmy w milczeniu i wtedy zadzwonił telefon. To był Adam Pieczyński i Edek Miszczak – rozmawiali ze mną razem, w trybie głośnomówiącym. Myślę, że już wtedy mieli przecucie, że cała sprawa, dęta i nieprawdziwa, dobrze się dla mnie nie skończy. I że to, co im zostaje – zanim krzyknę im w oczy, że zachowali się jak świnie – to utwierdzać się nawzajem w przekonaniu, że robią dobrze. Oni i ich wszechwiedzący szwajcarski szef. Od razu przekazali pozdrowienia i wyrazy wsparcia od niego, szefa wszystkich szefów, czyli Markusa Tellenbacha. Jak na Szwajcara podobno niezwykle serdeczne... Zaraz za nimi informację: Tellenbach kazał mi przekazać, że musi powołać specjalną komisję do zbadania tej sprawy – tak mu nakazuje doświadczenie zawodowe.

Zrozumiałem z tego tyle: firma nie stoi za mną murem, tylko powołuje bez uprzedniej rozmowy ze mną komisję, co znaczy, że w tej historii jestem zdany tylko na siebie.

Po tylu latach pracy wiedziałem, co znaczy taki komunikat: jestem do odstrzału. Pracowałem dotąd w poczuciu, że stoi za mną potężna firma, która udzieli mi wsparcia i wszelkiej, również prawnej, pomocy, ponieważ zakładamy wzajemne zaufanie i lojalność. Gdyby ktoś miał poczucie, że Durczok to świnia, a jemu dzieje się krzywda, mógł w każdej chwili pójść albo do szefa informacji, albo do specjalnego działu, w którym znalazłby pomoc. Nie miałem też żadnych wątpliwości, że mój bezpośredni szef, Adam Pieczyński, nie miałby najmniejszych oporów, by jasno i dobitnie zakomunikować mi problem. Robił to wielokrotnie w całkiem błahych sprawach, miałem nawet wrażenie, że to mu odpowiada, bo pokazuje, kto tu naprawdę rządzi. A bardzo był czuły na tym punkcie.

Jeśli ktokolwiek i kiedykolwiek miał zarzuty wobec podlegających mi pracowników, to rozstrzygnięcie takiej kwestii zaczynałem od rozmowy z osobą, której dotyczyły te oskarżenia, bo ład korporacyjny ma sens tylko wtedy, kiedy jest oparty na takich właśnie elementarnych, międzyludzkich lojalnościach. Teraz poczułem, że zostały one zawieszono. I w takim poczuciu wracałem do Katowic.

Kiedy dotarłem do domu, zadzwonił do mnie Michał Majewski z „Wprost” – akurat zapisywałem syna na kurs prawa jazdy. Poprosiłem, żeby odczekał chwilę i na spokojnie oddzwonię do niego. Byłem zwyczajnie ciekaw, o co chodzi, bo docierały do mnie z „miasta” słuchy, że jego redakcja nie będzie się już zajmować tą sprawą. Myślałem, że dowiedział się o powołaniu komisji i chce się zapytać, co o tym myślę.

Oddzwoniłem i usłyszałem: „Chciałem cię zapytać o zajście ze stycznia tego roku, kiedy zostałeś zatrzymany przez policję...”. Tak właśnie powiedział: „zatrzymany”, nigdy tego nie zapomnę. I dalej: „...ponieważ zabarykadowałeś się w mieszkaniu, w którym były narkotyki”.

W tym momencie przestałem się zastanawiać, czy ja jestem winny, czy niewinny, kto i za co

mógłby mieć do mnie pretensje, tylko zrozumiałem, że odtrąbiono właśnie polowanie z nagonką.

Zapytałem: „Michał, o czym ty mówisz?”.

Powtórzył: „Policja cię spisała, ponieważ zabarykadowałeś się w mieszkaniu na dolnym Mokotowie, w mieszkaniu, w którym były narkotyki”.

Zatkało mnie. Oczywiście pamiętałem spotkanie z policją na dolnym Mokotowie, ale „barykadowanie się”, „narkotyki”? Do tej chwili traktowałem ten incydent, jakbym był świadkiem stłuczki na ulicy. Poszedł w niepamięć. Tłumaczyłem mu, jak było. Kobieta dobijała się do drzwi, a ja prosiłem, żeby się uspokoiła i poczekała, aż gospodyni mieszkania wróci ze spaceru z psem. Byłem w tym miejscu tylko chwilowym gościem, nie wiedziałem, kim jest tłukąca się do drzwi kobieta, niczego ze spraw, które głośno komentowała, nie potrafiłbym jej wyjaśnić. Usłyszałem: „To ja dzwonię na policję”. No i dobrze, nie widziałem w tym problemu. Kiedy wróciła Ela, moja koleżanka, usłyszałem za drzwiami awanturę o pieniądze – że już któryś miesiąc z rządu nie był opłacony czynsz. I jeszcze: „dobrze, że jest tu pani mąż” – tak to owa właścicielka mieszkania ujęła. Mąż, czyli ja! Wtedy zdawało mi się, że jest trochę strasznie, a trochę śmiesznie.

Uznałem, że sprawa sama się wyjaśni i nic tu po mnie. Wziąłem kurtkę i – oczywiście – założyłem kaptur na głowę, co nie jest chyba trudnym do zrozumienia, w moim przypadku i tych okolicznościach, odruchem. Otworzyłem drzwi, powiedziałem: „To jest sprawa między państwem, mnie ona nie dotyczy” i ruszyłem. Na piętro wszedł mężczyzna, chyba partner awanturującej się coraz bardziej histerycznie pani. Próbował wystartować do mnie z rękami. W tym kafkowskim scenariuszu tego było już dla mnie za wiele. Odepchnąłem go i szedłem po schodach na parter. Na chodniku przed blokiem byli już policjanci, jeden z nich zapytał mnie, czy wychodzę z wiadomego mieszkania w tym bloku. Potwierdziłem i zdjąłem kaptur. Policjant poznał mnie i poprosił, żebym jednak wrócił. Stanęliśmy na korytarzu, spisał moje dane. Okazało się, że przyjechali tak błyskawicznie, bo właścicielka zgłosiła włamanie. Miała być interwencja „na gorącym uczynku”. Policjanci weszli z właścicielem do środka, pewnie sprawdzali, czy nic nie zginęło. Wyszli, powiedzieli, że mnie to nie dotyczy, i uprzejmie kazali odejść.

Nie zdawałem sobie jednak sprawy, że można z tego uszyć tak grubą aferę.

Majewski zaatakował mnie na podstawie czegoś, co dla mnie było tylko niemiłym, zapomnianym już incydem. Szokował fakt, że o tym wie. Zastanawiałem się: czy tam rzeczywiście kogoś zatrzymano i aresztowano? Coś się stało po moim odejściu? Niemożliwe – wiedziałbym o tym od znajomej, nie zbagatelizowałaby takiej historii. A jeśli nic się nie stało, to o co chodzi? Przecież zdarza się, że ludzie zalegają z opłatami za mieszkanie.

Oczywiście byłem na siebie wściekły, że zamiast wyjść wcześniej tamtej nocy i mieć teraz spokój, podkusiło mnie, żeby jeszcze zostać i pogadać przy winku.

Siedzę od lat w dziennikarskim biznesie i wiem, że jeżeli dziennikarz pyta: „Dlaczego się zabarykadowałeś w mieszkaniu, w którym były narkotyki?”, to znaczy, że taka jest właśnie teza jego artykułu, nie chodzi o żadną próbę wyjaśnienia. Pracowałem kiedyś dla „Wprost”, więc wiedziałem, jaki mają cykl wydawniczy, że wszystko, łącznie z okładką, jest już gotowe. W piątek po południu potrzebują tylko odhaczyć jeden punkt: wypowiedź Durczoka, obojętne, co powie.

Już wiedziałem, że nic się nie rozejdzie po kościach, że będzie bardzo źle, bo jeśli oni sięgnęli po coś takiego, to znaczy, że w sprawie domniemanego molestowania, o której pisali dwa tygodnie wcześniej, nic nie znaleźli. Więc: jak nie kijem go, to pałką. Dostali zapewne jasny przekaz: panowie, albo kończycie i facet nie żyje, co znaczy, że mieliście rację i wiedzieliście, o czym piszecie, albo podziękujemy sobie za współpracę i nie ma was w tym piśmie. Czuję, że są pod ścianą i że to już jest dla nich wojna na śmierć i życie. Wyrok był gotowy.

Dopiero teraz, kiedy niczego nie da się już odwrócić, ale przychodzi pora, żeby na spokojnie i z dystansu pomyśleć, co się stało, jakie popełniłem błędy, to dopuszczalna jest i ta myśl, że może powinienem mimo wszystko i wiele ryzykując, porozmawiać z nimi na spokojnie i wyjaśnić, co zaszło. Ale nie chcę siebie oszukiwać, takie myślenie jest skażone naiwnością, że w tej historii chodziło o dojście do prawdy.

Nigdy się wcześniej z Sylwestrem Latkowskim, redaktorem naczelnym tygodnika „Wprost”, nie spotkałem poza studium. Owszem, rozmawialiśmy, bo dzwonił do mnie w czasie afery taśmowej.

Chodziło o wkroczenie służb do ich redakcji. O nic nie prosił, chciał tylko naświetlić sytuację. Sprawiał dziwne wrażenie, bo właściwie nigdy nie mówił, tylko wykrzykiwał hasła. W studiu telewizyjnym jeszcze się opanowywał, ale po zejściu z anteny było wyraźnie widać, że ma problemy z opanowaniem swoich emocji. Więc kiedy tak dzwonił w sprawie taśm, to głównie wydawał z siebie okrzyki, „że Białoruś!” albo „że Rosja!” „że napad!”.

Tak, wejście Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego do redakcji „Wprost” było skandalem, niezależnie od tego, jak redakcja grała później tymi taśmami. Ale o tym, kim jest naprawdę Latkowski, dowiedziałem się dopiero przy okazji rozprawy sądowej, którą mu wytoczyłem.

To jednak miało nastąpić dużo później. Tymczasem prowadziłem w swoim katowickim mieszkaniu telefoniczną rozmowę z jego redakcyjnym kolegą. Majewski kilkakrotnie powtórzył frazę o „barykadowaniu i narkotykach”, a ja zaprzeczyłem. Chciał wiedzieć, co ja tam robiłem, ale nie uważałem, że bym musiał mu opowiadać swoje prywatne historie, nawet jeśli – jak w tym przypadku – były zupełnie neutralne. Rozłączyłem się... Wtedy się zorientowałem, że stoję. W lustrze garderoby odbijał się blady jak ściana człowiek ściskający słuchawkę, jakby chciał ją udusić.

Walec ruszył, a ja nie miałem najmniejszych złudzeń, że będzie chodziło o ustalanie faktów. Dla moich gończych nie miały one żadnego znaczenia.

Wypiłem duszkiem szklanę whisky. Tak, właśnie się dowiedziałem, co to jest „zwierzęcy strach”. Zaszczucie. Tym bardziej że po telefonie w sprawie komisji w TVN było dla mnie jasne, że zostałem z tym sam.

Wtedy też przypomniałem sobie pewną niewytłumaczalną – jak mi się wcześniej wydawało – historię z włamaniem do mojego warszawskiego mieszkania. No ale kiedy dopadają nas niewytłumaczalne historie, to przypominamy sobie inne niewytłumaczalne historie ze swojego życia i próbujemy je ze sobą zestawiać, bo może się jakoś wzajemnie tłumaczyć? Sam nie wiem. I to, o czym piszę, jest prostym opowiedzeniem o faktach. Nie dorabiałem do tego, ani wtedy, ani teraz, żadnych teorii. Zbyt wiele głupich słyszałem w życiu. Ale to, o czym zaraz napiszę, wydarzyło się. I trzeba o tym wiedzieć.

Był październik 2014 roku, dzień premiery filmu „Bogowie”. Po przyjęciu w Łazienkach wróciłem do domu około wpół do trzeciej. Rano wziąłem taksówkę i pojechałem do pracy. Po powrocie lekko zaniepokoiło mnie coś w drzwiach – jakbym rano zostawił je otwarte, a zamek chodził jakoś inaczej. Może się zdarzyć. Wszedłem i spojrzałem na stół pod oknem – nie było laptopa. Prawie nigdy nie zabierałem go do pracy, w redakcji pracowaliśmy na innym sprzęcie. Ale nie przejąłem się tym specjalnie, no bo jeśli zapomniałem zamknąć drzwi, to może byłem też rano na tyle nieprzytomny, żeby wziąć laptop do pracy i tam go zostawić. A może leżał w aucie pod siedzeniem?

Jeszcze coś zwróciło moją uwagę: srebrne opiłki na podłodze. U góry nad drzwiami wejściowymi był zainstalowany automatyczny odświeżacz powietrza. Pewnie poleciało, pomyślałem.

Następnego dnia okazało się, że laptopa nie ma ani w pracy, ani w samochodzie. No to może go zostawiłem w Katowicach? Premiera była we wtorek, w czwartek pojechałem do Katowic. Laptopa nie było. W piątek zadzwoniłem na policję. Zgłosiłem, że prawdopodobnie okradziono moje mieszkanie, ale jedyną rzeczą, którą mi zabrano, jest laptop. I nie wiem, co o tym myśleć. Bo rzeczywiście byłem zupełnie zdezorientowany. Zapytałem, co mam robić – przecież minęło już kilka dni. Powiedzieli, że jeśli tyle czasu już minęło, to nie ma się co spieszyć, odczekajmy do niedzieli, aż będę na miejscu.

Przyszła ekipa. Zbadała zamek i potwierdziła: było włamanie, to jasne. Policjant nawet opisał mi dokładnie przedmiot, którym się posłużono, by otworzyć drzwi – składał się z licznych pasemek stali, formujących się w kształt domniemanego klucza. No i przy okazji wytłumaczył, skąd się wzięły metalowe opiłki na podłodze. Zupełnie niejasny był jednak cel włamania, bo oprócz laptopa zginął, jak się okazało, jeden z trzech zegarków i to najmniej cenny, za to rejestrujący dane biometryczne, cyfrowy z pamięcią, przeznaczony do biegania. Z łazienki zginęła woda toaletowa, prezent od Marianny. Później zorientowałem się, że zniknął także jeden segregator z papierami. Policjanci pobrali odciski palców i poszli.

Nie wiem, jaki to może mieć związek z moją dalszą historią. Może nie ma żadnego. Na pewno jednak w stanie ducha, w którym się wtedy znalazłem, miałem prawo tłumaczyć sobie jedno niewytłumaczalne przez inne niewytłumaczalne.

W podręcznej torbie, która została w mieszkaniu na Mokotowie, nie mogło być moich papierów z urzędu skarbowego. Po prostu: tam ich być nie mogło! Ktoś jednak tam je znalazł.

To było jak sen wariata. Jego pierwsza i nie ostatnia, jak się miało okazać, odsłona.

Tymczasem był piątek. Zbierałem myśli po rozmowie z Majewskim.